

Kronika tygodniowa.

Dalszy ciąg ciekawych wywodów „proroka” i ich zakończenie brzmi, jak następuje:

„Dotąd wszystko to się spełniło, a mogę postawić nausznych i wiarygodnych świątków, że to wszystko „przepowiedziałem”, czy też „przewidziałem” jeszcze w pierwszych miesiącach obecnej zawieruchy, jako rezultat „ogólnego planu dziejowego”. Do spełnienia pozostają jeszcze następujące fakty:

2) Francja wyjdzie z tej wojny jako monarchia (*Poincaré sur la république*—kropka liturgiczna nad republiką).

3) Największe korzyści odniesie z tej wojny Polska i Żydzi.

4) Wojna zakończy się ogólnym „międzynarodowym” porozumieniem.

W pierwszych dniach kwietnia b. r. uzyskałem nadto drogą pewnych mechanicznych obliczeń następujące dodatkowe wskaźniki:

Przewiduję również, jako wynik obecnej wojny, upadek wszelkiego „imperyalizmu” w obrębie chrześcijaństwa.

Kogo interesują dalsze konsekwencje mojej „filozofii przyszłości”, ten może zechce przyjąć do wiadomości następujące szczegóły:

1) W krótkich, mniej więcej pięcioletnich odstępach czasu, będziemy mieli jeszcze trzy podobne wojny w Europie, tak, że dopiero około r. 1937 można się spodziewać jakiegotakiego uspokojenia. Zamieszki trwać jednak będą dalej, głównie na polu socjalnym, tak, że cały okres 45 lat (1911—1956) będzie mógł być uważany za jeden straszny „potop ognia”, z którego zaledwie „czterech mężczyzn urodzonych w XIX. wieku zdoła doczekać i dożyć rozstrzygającego Nowego Roku 1957”.

2) Po obecnej wojnie w szybkim stosunkowo tempie rozwijać się zacznie imperyalizm żydowski, skoncentrowany około Jerozolimy, który jednak w owym roku 1956/7 zostanie raz na zawsze zdruzgotany.

Oto masz, Wielce Czcigodny Kronikarzu, krótkie streszczenie moich inkryminowanych przez Ciebie „proroctw”.

Oddaję Ci je do ręki, jak brat bratu, bez wszelkich zastrzeżeń prawnych, jedynie tylko w zaufaniu w Twój honor, kulturę oraz niezależność majątkową, która Ci daje śladki do znacznie intensywniejszej działalności publicznej, aniżeli ja ją posiadam jako przymusowy funkcjonariusz gminy. Byłoby mi niezmiernie miło, gdybyś zechciał istotnie odebrane odemnie wiadomości w jakiś sposób uczciwie opublikować, choćby tylko „na pocieszenie tych serc polskich”, które w ostatnich czasach, pod naciskiem udręceń publicznych, tak się poddają wszelkim skrajnym pesymizmom. „Z nami Bóg nie skończony!” — przeznaczył Redaktorze. Trzeba to przekonanie wpajać na każdym kroku naszym nieszczęśliwym współzłotnikom, a nie terrorizować ich bezustannie jakimś deprymującym widziadłami zrujnowanych Kapitolów i Akropolów. „Myśmy żrenić w oku i ukochaniem przepiętnej Matki-Bogini!” Nasza pozorna słabość jest tylko nowym tytułem do nadziei, że zostaniemy „wywyższeni”, bo „Bóg wybrał słabe tego świata na pohańbienie mocarzy”. „La pologna sera como una parola di Dio!” przepowiedział już przed siedmiesięciami z górą laty jeden z najwybitniejszych włoskich mistyków, Wbny O. Bernardo Clausi. Trzeba się tylko starać, abyśmy sami nie utrudniali sobie własnego szczęścia przez małoduszność, opieszałość i przesadną bierność. Gdybym tylko mógł, jak nie mogę na razie natchnąć Was taką nfaością w powodzenie sprawy, jaką sam posiadałem, jaką przepełnieni byli francuzka Joanna D'Asc i nasz Augustyn Kordecki, tobym Wam dziś już stawiał przed oczy pewien „Znak Boży”, pod którym niewątpliwie zdołalibyśmy się wszyscy zjednoczyć w „jeden miecz zwycięski” i rozgromić wszystkich naszych wrogów, aby cały świat poznał i uznał, że jednak „giętka stała polska dno sposobniejsza jest do panowania nad światem, aniżeli twarde pruskie żelazo”. Być może, że już w niedługim czasie będę mógł w tym kierunku coś „wyraźniejszego” uczynić,

potrzeba mi tylko czterdziestu ludzi zdecydowanych na wszystko i sto czterdzieści tysięcy koron austriackich pieniędzy. Póki tego nie mam w ręk, muszę się ograniczać do stanowiska cichego obserwatora Waszych cierpień i bezpotrzebnej poniewierki. Mote Ty, Przeznaczył Kronikarzu, mógłbyś mi w tej sytuacji coś „wypośredkować” z jakich tajemnych „wojennych budżetów”, albo przynajmniej za pośrednictwem Twojej Weronisi? (Vera niki = prawdziwe zwycięstwo!)

Tymczasem kończę moją przydługą „replikę”, zasyłając Tobie i Jej moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

Lamuel

prorok magistracki.

Tyle „prorok”.

Od siebie samego do Jego wywodów nic nie dodam, chyba życzenie, aby bodaj ta przepowiednia się spełniła, że obecna wojna ma potrwać lat cztery i pół, to jest, że skończyć się powinna wprawdzie nie w październiku roku bieżącego, ale bodaj choć w styczniu roku 1919. Jak się zdaje, przyjdzie nam wojować i przez piątą zimę, choć krakowski magistrat, opierając się widocznie na przepowiedniach swego „proroka”, jest zupełnie innego zdania i prawdopodobnie dlatego czyni rozmaite trudności tym, którzy starają się o zapasy węgla na zimową porę.

W międzyczasie spodziewaliśmy się, że bomba pęknie, to jest, że się wojna skończy, gdy Hiszpania postawiła się ostro wobec Niemiec, ale ostatecznie pokazało się, że to była tylko burza w szklance wody. Ale Hiszpania, gniewając się na mocarstwa centralne, miała po części rację. Pewne *quantum* winy musi przyjąć na siebie i krakowski pan fizyk, który hiszpańską grype, choć pochodziła z kraju neutralnego, przyjął bardzo niegościnnie. Opuszcza nas więc i powróciła skąd wyszła, ale prawdopodobnie użaliła się przed swym rządem, a ten powiedział sobie, że byłby z przeproszeniem głupi, gdyby na tem nie zrobił jakiego interesu.

Bo dziś już takie czasy, że każdy chciałby na wszystkim zrobić interes, bez względu na to, czy nie ucierpią na tem jego bliźni. Miłość własna zajęła dziś pierwsze miejsce, inne względy spychając na drugi plan.

Nie tracimy przecież nadziei, że słuszna sprawa musi zwyciężyć.

Ale kto ma słusność, oto sęk, o który się wszystko rozbija. Jestem pewny, że nawet i sam „prorok”, choć wieszczym obdarzony duchem i, jak się z Jego wywodów okazuje, biegły w różnych umiejętnościach, nie byłby w stanie odpowiedzieć na to zagadnienie w sposób zupełnie jasny i otwarty. Jedna strona przypisuje sobie słusność, druga czyni to samo, o ile jej to dotyczy, a my, zwykli zjadacze chleba bezkartkowego, który, maluczko, ma się znów zmienić na kartkowy, jesteśmy niczem tabaka w rogu i ani rusz się nie możemy wyznać, co piszczy w tej trawie, co się polityką nazywa.

„Prorok” powiedział swoje, ale to jeszcze mało. Część jego przepowiedni już się spełniła, część jest dopiero w drodze, zwłaszcza, że rozdzielone są na szerszy przeciąg czasu, bo aż do roku 1957. Są między nimi i takie, które, przynajmniej jak dotąd, zawiodły, ale z tego powodu nie możemy Mu czynić wyrzutów, gdyż i przepowiednie prawdziwych, koncesjonowanych i przez władze uznanych proroków biblijnych nie wszystkie się spełniły, przynajmniej w ludzkim zrozumieniu rzeczy.

Kronikarz, od chwili otrzymania listu owego od „proroka” stał się sam astrologiem i, nie posiadając teleskopu, bada ruch gwiazd bodaj przez dzurawy rękaw swej marynarki, ale nie się dopatrzeć nie może, już choćby tylko z tego powodu, że niebo jest stale zamglone, a większość gwiazd, prawdopodobnie ze względów oszczędnościowych pogaszone, podobnie jak co wieczór miejskie latarnie gazowe i elektryczne.

To jedno wyczytał, ale nie w gwiazdach lecz w „Kurjerku”, że już na grudzień, a najdalej na styczeń obiecuje nam pan minister od żółdkowej amunicji brak mąki i chleba, wobec czego byłoby w samej rzeczy wskazaniem, aby przepowiednie „proroka” co do końca wojny istotnie się spełniły, wobec bowiem grożącego światu niebezpieczeństwa ogólnego pokoju, ruszono by może zapasy, przeznaczone na czarną godzinę. W przeciwnym wypadku muszą one pozostać nadal w ukryciu.

Czytamy w gazetach o „linii Hindenburga”, innym znów razem o „linii Zygryda” i innych jeszcze liniach, ale najsmutniej się przedstawia stanowczo linia naszego „maćka”. Otrzyma się ją zaś w ten sposób; jeśli zwykłym sznurkiem opasze się każdy w pasie, a potem porówna swój obwód z takimże z czasów przedwojennych. Przekona się wówczas, że cofnęliśmy się na całej linii, jeszcze dalej niż Niemcy na zachodnim froncie i to jest najsmutniejsze. Jeśli ubytek w kilogramach żywej wagi, jakie, dzięki wojnie już utra-

ciliśmy, zamieni się na wartość w koronach, choćby nawet według taryfy maksymalnej, przekonamy się, że ponieśliśmy straty, które liczyć się musi na miliardy, a nie na miliony, co zaś najgorsze, że straty te trudno będzie powetować.

Ostateczna więc konkluzja z tego, że wojny mamy już dość i że życzyć sobie należy, by bodaj ten „magistracki prorok” nas nie zawiodł.

Jak zresztą będzie, o tem przekona się ten, kto cierpliwie doczeka końca wojny, bez względu na to kiedy on przypadnie, t. j. na październik lub listopad, albo też może i później, z powodów od redakcyi niezależnych.

Na razie, aby ludności jedzącej dać przedsmak rozkoszy, jakie ją w niedalekiej przyszłości czekają, jeśli się wojna dłużej przeciągnie, zaprowadzono z urzędu trzy dni postne w tygodniu, to jest poniedziałek, środek i piątek, obiecując, że w najbliższym czasie możemy się spodziewać całego beznamiętnego tygodnia w miesiącu.

O trzech dniach posta doniosły gazety, ponieważ zaś one często się mylą (patrz: przepowiednie meteorologiczne kronikarza...), nikt sobie tej wiadomości zbyt nie wziął do serca, czekając na prawdziwe urzędowe ogłoszenie.

Stało się też tak, iż, gdy w poniedziałek wpadła komisja wachająca do pewnej kuchni, zastała tam na piecu oryginalną cielecinę z nerką.

— To baranina, nie mięso! — tłumaczyła się gospodyni.

— Baranina?... Z nerką?... — wyraził powątpiewanie pan z komisji.

— A cóż pan myśli... Wszak i barany mają nerki!... Zresztą my pościmy we wtorek i piątek, tak, jak było swojego czasu nakazane.

We wtorek znajduje komisja na brytwannie gęs i słyszy, że to nie mięso, jeno ryba, skoro pływa po wodzie. Zresztą rodzina stosuje się już do nowych rozporządzeń i pości trzy razy w tygodniu.

We środę powtarza się to samo, z tą tylko różnicą, że *corpus delicti* stanowi młoda wleprzowinka (także nie mięso, bo chłopci nierogacizną nazywają „gadziną”, a wiadomo, że chłopski rozum jest najmądrzejszy...), pozatem rodzina obserwuje wtorek i piątek.

Na to niema rady. Tego rodzaju rozporządzenie powinno być ogłoszone nie tylko w gazetach, ale i plakatami i t. d. by ogół wiedział, czego się ma trzymać, aby nie wejść w konflikt z ustawą, mającą bardzo wyrabione powonienie.

W piątek nie można się już wykręcić sianem, zresztą w tym dniu post urzędowy schodzi się z kościelnym, choć Kościół jest wyrozumiały i udziela chętnie dyspensy każdemu, kogo tylko stać na to, by sobie kupił kawałek ścierwa, nazywanego sztucznie mięsem pierwszej jakości.

Posty są zresztą wskazane, choćby tylko z tego powodu, by jedzący ogół zniewolić do obchodzenia się smakiem i odzwyczajenia się obżarstwa, będącego przyczyną innych grzechów głównych.

Na zakończenie chciałbym jeszcze zaznaczyć, celem uspokojenia tych, którzy pragną kroniki politycznej treści, że sytuacja stała się obecnie tak niejasną i niepewną, jaką nie była nigdy od samego początku wojny, że więc nie podobna poprostu stawiać teraz jakieś wnioski, nawet gdyby się było owianym wieszczym duchem, co nie każdemu jest danem.

Kronikarz jest sobie zwykłym tylko śmiertelnikiem, w przewidywaniu przyszłości bawić się też nie chce i nie może, będąc pewnym, że żadne z nich nie spełniłoby się z pewnością, już choćby tylko dlatego, by potem mógł narzekać na swojego „pecha”, jaki go od samego urodzenia przesładuje. Bo czy byłoby to co zaszkodziło owemu bocianowi, który go na świat przyniósł, gdyby go był złożył, choćby tylko „przez pomyłkę” w kołysce jakiegos milionera, ale, broń Boże, nie wojennego!...

Jak dziś rzeczy stoją, można się spodziewać końca wojny bardzo rychło, ale równie dobrze można nań czekać i całe jeszcze lata, lubo nieboszczyk Kitchener, choć nie był prorokiem, zapowiedział go, jeśli się nie myli, na rok 1918.

Oby bodaj jego przewidywania się spełniły!...

Myślałem, że będę mógł pojechać bodaj do Warszawy na elekcyę naszego króla-jegomości i już się widziałem na wolskich błoniach w towarzystwie innych „elektorów”.

Niestety i to się nie udało, bo i ta sprawa jakoś nagle ucichła. Cieszyłem się już na samo wspomnienie „kibelasy elekcyjnej”, wiadomo bowiem, że bez niej żadne u nas wybory obejść się nie mogą.

